



Miał być rajem.  
Zamienił się w piekło.

# ZATRUTY OGRÓD

ALEX MARWOOD

ALBATROS

Tytuł oryginału:  
THE POISON GARDEN

Copyright © Alex Marwood 2019  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Anna Dobrzańska 2020

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Zdjęcie na okładce: © Roy Bishop/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



## PROLOG

Zabijcie mnie.

Posterunkowa Nita Bevan uświadomiła sobie, że jej partner, Martin Coles, jest gadułą. Jeżdżą razem od trzech tygodni, a facetowi gęba się nie zamyka. Owszem, przydaje się, kiedy trzeba podnieść głos, ale przez resztę czasu gada i gada, i gada. A jak już wejdzie na jakiś temat, to nie ma zmiłuj. Nieważne, jak chłodne i zdawkowe są jej odpowiedzi ani jak błahy jest temat rozmowy – można mieć pewność, że kiedy Martin wróci do radiowozu i rzuci: „Na czym to ja skończyłem? A, tak”, podejmie przerwany wątek dokładnie w tym miejscu, w którym skończył, gdy nadeszło zgłoszenie. Jakby miał w głowie cholerną zakładkę.

Nie inaczej jest teraz, kiedy jadą Dolgellau Road. Temat dnia: tosty z serem i kto robi najlepsze. Ma nadzieję, że uporają się ze zgłoszeniem na tyle szybko, że zdążą do taniej knajpki w Fairbourne, która jego zdaniem jest lepsza od Old Station Café w Bala i Sea View w Barmouth.

– Rewelacyjny ser caerphilly i chutney z cebuli – mówi. – Mają tam też pyszne walijskie ciasteczka. Chyba lubisz walijskie ciasteczka, co?

Zabijcie mnie.

– Nie jestem pewna, czy miałam okazję je jeść – odpowiada

Nita. W końcu jest w Walii dopiero od miesiąca. W Essex nie są one zbyt popularne.

– Nigdy nie jadłaś walijskich ciasteczek?! – woła zdumiony. – To tak, jakbyś nie żyła! – Skręcają za róg i ku jej uldze, widzą land rovera, którego szukali. Jego właściciel stoi obok ubrany jak farmer ze wzgórz, w kraciatą koszulę i kalosze.

– No to jesteście – rzuca Nita i parkuje na poboczu.

Mieszkańcy wzgórz dzielą się na dwie kategorie: gadatliwych, jak jej partner, i małomównych. Na szczęście Gavinowi Reesowi bliżej jest do tych drugich. I z całą pewnością nie zawraca sobie głowy lokalnymi przysmakami. W przeciwnym razie ślęczeliby tu cały dzień, zanim wzięliby się do roboty.

– Dzięki, że przyjechaliście – mówi. – Wolałbym nie wchodzić tam sam. Wtargnięcie i takie tam. Sami rozumiecie.

– Ale jest pan sąsiadem, tak? – pyta Nita.

– Tak. Jestem właścicielem farmy po drugiej stronie wzgórze. Ale ci tutaj nie są zbyt życzliwi. Nie lubią gości. Byłem tu ledwie kilka razy i zawsze wcześniej musiałem się umówić.

Są osiem kilometrów w głębi łądu, w pobliżu bujnych lasów liściastych na wzgórzach Parku Narodowego Snowdonia, lecz powietrze wypełniają wrzaski mew. Mew i kruków. Gdyby się nie znała, po zapachu, który unosi się w powietrzu, podejrzewałyby, że ktoś urządził sobie wśród drzew wysypisko śmieci. Spogląda na małą chatkę, wysoką metalową bramę i mur otaczający las. Wszystko jest zamknięte, a chatka wydaje się opuszczona.

– I myśli pan, że coś się stało, bo...?

Martin zamknął się i słucha z uwagą. Dziwny z niego człowiek. Można by pomyśleć, że nie zwraca na nic uwagi, ale w kontaktach z ludźmi ma niezawodne wyczucie.

– Chodzi o ten zapach – mówi rolnik.

– Aha – rzuca Nita. – Czyli nie jest on normalny?

– A pani wydaje się, że jest? – pyta Rees.

Nita krzywi się tylko. Nie, myśli, ale zapachy mają różne źródła.

dła. Była w wystarczająco wielu gospodarstwach, by wiedzieć, że nie należy wyciągać pochopnych wniosków.

Ale ta woń jest jakaś inna. Wszechobecna, przyprawiająca o mdłości. Cuchnie ściekami, dojrzałym serem i rozkładem. Sprawia, że powietrze jest gęste, tak gęste, że zdaje się przywierać do ubrań. Cokolwiek jest za tą bramą, kiedy to zobaczą, Martinowi odechce się tostów.

– No i krowy – ciągnie Rees. – Od kilku dni muczą na pastwiskach. Jakby się czegoś bały. Chyba dawno ich nie dojono.

– Rozumiem – mówi Nita. – A właściciele?

– To... – farmer zastanawia się nad doborem słów – dziwacy. Jacys hippisi surwiwaliści. Siedzą tu od trzydziestu lat, szykując się na apokalipsę.

– Apokalipsę?

Rees kiwa głową.

– Zrobili zapasy na lata.

– Ilu ich jest?

Rolnik zdejmuje czapkę z daszkiem i drapie się w tył głowy.

– Trudno powiedzieć, jak człowiek tam nie wchodzi, a oni nie wychodzą... Ale trochę ich będzie.

– Dobrze – ucina rozmowę Nita. – Zgłosimy się do centrali i otworzymy bramę.

. . .

Pierwsze ciało znajdują w połowie drogi na wzgórzu. To mężczyzna, chudy i ogolony na łyso, leżący na ścieżce, twarzą do ziemi. Zatrzymują się za land roverem Reesa, wysiadają z radiowożu i w milczeniu patrzą na zwłoki. Nie ma sensu sprawdzać, czy żyje. Jest siny, a do jego otwartych ust wlatują i wylatują z nich muchy plujki.

– Zna go pan? – pyta Nita, lecz Rees kręci głową. Teraz już całkiem odebrało mu mowę. Nic tylko mruga.

Nita łączy się z centralą i wzywa posiłki. Trupy wykraczają

poza jej kompetencje. Mężczyźni stoją przy zwłokach i rozbiegającym wzrokiem patrzą na drogę przed nimi. Nita uświadamia sobie, że z ich trójki to ona jest najspokojniejsza. Ale przecież po to tu jestem, myśli. Po tym, jak wypaliła się w Londynie, gdzie bez przerwy miała się na bacności przed terrorystami i nastoletnimi nożownikami, perspektywa życia na wsi z kradzieżami na farmach i sporadycznymi bójkami w pubie wydawała się jej niebywale atrakcyjna.

A teraz poci się pod kurtką odblaskową, bo znalezione na drodze ciało nie zwiastuje niczego dobrego.

– Lepiej chodźmy pieszo – odzywa się w końcu. – Do przyjazdu techników musimy go zostawić tak, jak jest.

. . .

Ptaki są pierwszym i najbardziej oczywistym znakiem. Mewy, które zauważyła wcześniej, i duże czarnowrony o lśniących piórach. Całymi stadami – chmarami – kołują na niebie i opadają na otoczoną wysokim murem ziemię, gdzie w drugim końcu sadu kominy starej posiadłości strzelają w niebo. Powietrze wibruje od ich krzyków. Nie miałam o niczym pojęcia, myśli Nita. Z drogi niczego nie widać. Pranie – bielizna pościelowa – wisi rozpięte na sznurach między jabłoniami, chociaż od dwóch dni nie przestaje mżyć. Nie podoba mi się to. Wcale mi się to nie podoba. Powinni tu być jacyś ludzie. Całe to miejsce powinno tętnić życiem.

– Czy mewy jedzą padlinę? – pyta.

– Chyba tak – odpowiada Martin, który w końcu odzyskał głos. – Chyba jedzą wszystko.

Za tym murem jest coś, co być może odmieni nas na zawsze, przychodzi Nicie do głowy. Zerka na swoich towarzyszy i ma wrażenie, że myślą dokładnie tak jak ona.

. . .

Brama jest elegancka, zwieńczona kwiatonami, tyle że w

kształcie ananasów. Nad nimi wznosi się łukowaty napis ułożony z wyciętych z blachy liter. Nita mruży oczy, by przeczytać sentencję niemal niewidoczną na tle szarego nieba. *Wszyscy są nikim*, głosi zewnętrzny łuk. Pod nim mniejszymi literami widnieje drugi napis: *Każdy jest kimś*. To nie jest dobre miejsce, myśli. Może kiedyś było, ale teraz już nie.

Wtedy zauważa stopę. Dokładnie tam, w bramie – bosą, z palcami skierowanymi ku niebu i poczerniałą piętą. Reszta ciała jest ukryta za murem. Stopa ma nie więcej niż dwanaście centymetrów.

– Chryste – jęczy Nita. – Są tu dzieci?

Jutro nikt z nas nie będzie tym samym człowiekiem, myśli w duchu.

. . .

To chłopiec. Dziewięcio-, może dziesięcioletni. Palce ma ukryte w gąszczu splecionych długich włosów, a jego twarz mimo zdrowej opalenizny wydaje się kredowobiała. Usta ma otwarte, podobnie jak mętne oczy. Znad luźnej piżamy, którą ma na sobie, ulatują roje much. Jedna stopa – ta, której nie widzieli, podchodząc do bramy – wciąż jest w płóciennym buciku z gumową podeszwą i gumką na podbiciu. Drugi bucik leży metr dalej w kałuży, odwrócony podeszwą do góry.

Za chłopcem pośród bujnych grządek z letnimi warzywami jest prawdziwe piekło.

. . .

Wyglądają jak rzeka. Wylewają się zza drzwi i spływają po schodach niczym liczne dopływy, które łączą się z sobą na ścieżkach. Im bliżej bramy, tym jest ich więcej. Piętrzą się jedne na drugich, zastygłe bez ruchu tam, gdzie upadli. Kiedy Nita, Martin i Rees wchodzi na podwórze, uderza ich w nozdrza wszechobecny smród ekskrementów, a stado mew, krzycząc, wzbija się w powietrze.

Twarze są niebieskie, zielone i czarne. Usta rozdziawione, jak gdyby pragnęły pochwycić krople deszczu. Zakrzywione palce zdają się chwytać otaczającą je pustkę. Wielu ma otwarte oczy i jak zauważyła Nita, wielu nie ma ich w ogóle. Ptaki padlinożerne uwielbiają oczy, które są takie delikatne.

Czołgali się, myśli Nita. Oni się czołgali. Wpełzali jedni na drugich, próbując dotrzeć do bramy. Próbując się wydostać.

Sięga po przypiętą do kurtki krótkofalówkę, podczas gdy Martin, szarpany torsjami, zgina się wpół.

Wyglądają jak rozsypane po ziemi ludzkie bierki.



# WŚRÓD MARTWYCH

*Wrzesień 2016*

# 1 | Romy

Tam gdzie dorastałam, gdy ktoś umierał, nigdy więcej o nim nie mówiliśmy.

Tutaj, wśród Martwych, nie jest to takie proste. Spośród dorosłych tylko ja jedna żyję, a wszyscy dookoła chcą rozmawiać wyłącznie o ciałach.

Jeszcze jeden dzień, mówią, i byłabym jedną z nich. Kolejna statystyka. Moja noga już nigdy nie będzie taka jak dawniej. Dwa tygodnie trzymali mnie w szpitalu. Potem przez cztery dni siedziałam na posterunku policji. Nie mieli mnie o co oskarżyć, ale nie chcieli wypuścić. Wygląda na to, że Jedyny Ocalały Dorosły jest niezastąpiony: nigdy w życiu nie miałam takiego statusu. Następnie pozbawili mnie prawa decydowania o sobie, czyli uznali za wariatkę i zamknęli w „zakładzie”, w którym codziennie mnie przesłuchiwali i z którego nie mogłam uciec. Jeśli mam być szczerą, kiedy w końcu mnie wypuścili, rzeczywiście byłam szalona. W ciągu dwóch dni ciszy, po tym, jak ustały wrzaski, zaczęłam myśleć, że kiedy leżałam w szpitalnym łóżku, świat się skończył.

Mieszkałam w celi sama, jak mnich. Nie byłam jednak pozbawiona luksusów. Miałam swoją własną toaletę w kącie, trzy posiłki dziennie i mogłam brać prysznic – gorący prysznic – kiedy tylko poprosiłam.

Właściwie byli dla mnie mili. Dali mi dodatkową pościel i telewizor, a w przerwach między przesłuchaniami miły, młody policjant zabierał mnie na spacer, żebym chodząc powoli o kulach, stopniowo wracała do zdrowia. Widziałam ulice i sklepy, błękitne niebo i mały park z drzewami, po którym piszcząc, biegały dzieci. Był tam też kanał, sztuczna rzeka łącząca miasta, zanim połączyła je sieć torów kolejowych. Na jej brzegach cumowały małe, malowane łódki ze stojącymi na nich cynowymi doniczkami, w których kwitły pelargonie, i z rowerami przykutymi łańcuchami do burt. Mieszkają na nich ludzie. Podoba mi się to. Gdybym mogła, chciałabym mieszkać na łodzi. Odwiązałabym cumy i wypłynęła na środek rzeki. Czułabym się, jakby otaczała mnie fosa.

Codziennie ktoś mnie odwiedzał i pytał, czy coś sobie przypomniałam, a ja za każdym razem odpowiadałam to samo: byłam naszprycowana morfiną. Byłam nią otumaniona do czasu, aż wszyscy umarli. Potem nie było już nic, tylko wszechogarniający ból. Przynosili zdjęcia ludzi, którzy – jak sądzili – mogli być wśród tych bladych ciał. Każdy, kto wstępował do Arki, zmieniał imię, co jeszcze bardziej utrudniało identyfikację. Widziałam na tych zdjęciach wielu młodych ludzi. Ludzi z włosami, z rodzinami, nastolatki z krzykliwym niebieskim cieniem na powiekach, uśmiechniętych absolwentów w czarnych togach i czarnych biletach, z dyplomami w dłoniach. Widziałam siedzącą na koniu Luz w tweedowym żakiecie i dżokejce i Siraja z postawionymi na żel gęstymi, zielonymi włosami, ubranego w obcisłą koszulkę bez rękawów z napisem *Chrzanić bzdury!* Byli też inni, których nie rozpoznawałam; ci młodzi ludzie zaginęli w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku i rodziny nie miały pojęcia o ich losie. Tak wielu, tak wielu, którzy zniknęli dawno, dawno temu. Kiwałam głową, kiedy twarz wydała mi się znajoma, i kręciłam z żalem, który wydawał mi się stosowny, gdy nie rozpoznawałam osoby na zdjęciu.

Czasami ci, co mnie przesłuchiwali, mówili, kim jest człowiek

na fotografii. Dzięki temu dowiedziałam się, że Ojciec naprawdę nazywał się Damian Blatchford, a Ursola miała na imię Michelle. Moja matka nazywała się Alison Maxwell i ostatni raz widziano ją w Finbrough, w Berkshire, gdy miała osiemnaście lat i mieszkała w przyczepie kempingowej z dzieckiem, czyli ze mną, ale o tym wiedziałam już wcześniej. Miała trzydzieści osiem lat, gdy umarła w Plas Golau, a to oznacza, że ja mam prawie dwadzieścia jeden lat. Okazuje się, że istnieje mój akt urodzenia, co ich zdaniem stanowi uśmiech losu, bo dzięki temu moje życie wśród Martwych będzie mniej skomplikowane.

Powiedzieli mi, że Lucien-kiedyś-Damian wykładał filozofię i politologię na uniwersytecie na południowym wybrzeżu Anglii. Na początku lat osiemdziesiątych zgromadził wokół siebie niewielką grupę ludzi – większość odeszła sama dawno temu albo została wygnana, a parę osób pochowano na przykaplicznym cmentarzu – i tak powstała Arka. Z Vitą – piękną Vitą – sprawa robi się mroczna. Była Amerykanką, co jeszcze bardziej utrudnia sytuację. Wiedzą, że do 1986 roku była w Wielkiej Brytanii, bo apostości z tamtych czasów już wtedy wskazywali ją jako siłę napędową. Wiecie, ilu Amerykanów przewinęło się przez nasz kraj w dekadzie poprzedzającej rok 1986? Mówią mi, że miliony – dosłownie – i tak naprawdę nikt nie wie, ilu z nich wyjechało. Gdzieś na rozległych pustkowiach Ohio, Oregonu albo Teksasu jakaś rodzina od dziesięciatków lat uważała ją za zmarłą.

Zastanawiam się, czy ktokolwiek oplakiwał mnie.

. . .

Po miesiącu przenoszą mnie tutaj, do miejsca zwanego Domem Przejściowym. To duży budynek w nadmorskim miasteczku Weston. Są tu głównie ćpuni-filozofowie i alkoholicy-żartownisie, ale jest też kilku „wrażliwych dorosłych”, takich jak ja. Większość moich rówieśników z tej właśnie kategorii płacze po kątach albo pali w skupieniu na schodach przed wejściem, więc w porównaniu z nimi

nie czuję się szczególnie wrażliwa. Ja przynajmniej jestem gotowa na rozmaite katastrofy i mam szansę je przetrwać.

Raz dziennie mamy terapię grupową, a dwa razy w tygodniu spotykam się z psychologiem. Uznano mnie za „upośledzoną”, bo chyba nie wiedzą, jak inaczej mnie określić. I tak co dwa tygodnie podchodzę do maszyny w ścianie, wsuwam do niej plastikową kartę, a ona wydziela mi sto dziesięć funtów z konta, które założono na moje nazwisko. Nie bardzo wiem, na co je wydawać – dostajemy tutaj dwa posiłki dziennie, a na posterunku policji dali mi przydział spodni, koszulek i bielizny. Ubrania, w których mnie znaleźli, zostały spakowane i zabrane jako „dowód w sprawie”. Kupiłam więc parę solidnych butów i kurtkę przeciwdeszczową w sklepie w Weston, i tytoń dla mojego nowego przyjaciela, Spencera, bo lubi go i mówi, że teraz, kiedy odstawił heroinę, pozostało mu już niewiele przyjemności.

Moja terapeutka ma na imię Melanie. Nie bardzo wiem, dlaczego muszę się z nią spotykać. Na początku myślałam, że chodzi o jakiś nadzór, ale wszyscy zapewniają mnie w kółko, że nie jestem o nic podejrzana. Melanie twierdzi, że jest coś takiego jak poczucie winy ocalałego i coś jeszcze, co nazywa PTSD, czyli zespół stresu pourazowego, i że najprawdopodobniej cierpię na jedno i drugie. W związku z tym mogę mieć myśli samobójcze, depresję i być „społecznie nieprzystosowana”. Melanie wierzy w te rzeczy, bo studiowała je latami, tak jak ja latami uczyłam się zarzynać zwierzęta i budować szalasy z gałęzi. Cóż, każdy powinien zajmować się tym, co lubi. „Nie wiem, czy masz rację, mówiąc o tym poczuciu winy ocalałego – powiedziałam jej kiedyś. – Całe życie uczono mnie, jak przetrwać. Myśleliśmy wyłącznie o tym, jak przetrwać Apokalipsę. To był nasz cel, nasza tożsamość. Bycie ocalałym to coś, co należy celebrować, a nie coś, co wpędza nas w poczucie winy. Robiłam dokładnie to, co powinnam”.

„Tak – odparła – ale jest prawdziwy świat”. Po tych słowach zarumieniła się i zamilkła, bo była to jedna z tych rzeczy, których

nie powinna mówić.

Melanie nie specjalizuje się w sektach. Podejrzewam, że w Weston niewielu jest takich specjalistów. Ale nie przeszkadza mi to, bo ona stara się jak może. Cieszę się, że mogę z kimś porozmawiać. Wszyscy, których znałam, nie żyją, a ja jestem niewidzialna.

. . .

Podoba mi się w Domu Przejściowym. W końcu dorastałam w komunie i jestem przyzwyczajona, że mam wokół siebie ludzi. Przeraza mnie pustka. Cisza, która zapadała na posterunku, kiedy awanturujący się pijacy w końcu zasypiali. Dźwięk odsuwanego wizjera podczas codziennej kontroli był dla mnie prawdziwym błogosławieństwem, bo przez krótką chwilę miałam pewność, że świat się nie skończył. Tutaj jednak, w tych klitkach z karton-gipsu, słyszę jęk sprężyn łóżek, pokasywanie i płacz moich kolegów, czuję dym papierosowy zmieszany ze słonym morskim powietrzem i pocieszam się myślą, że oni wszyscy wciąż żyją.

Melanie mówi, że codziennie muszę wychodzić. Na początek na godzinę, potem na coraz dłużej, aż w końcu będę mogła spędzić cały dzień poza domem.

– Musisz budować siebie – powiedziała. – To jak z mięśniem. Za każdym razem, gdy go używasz, robi się silniejszy. Potraktuj to jak fizjoterapię dla mózgu.

Kiwam głową i marszczę brwi. Odkryłam, że to dobry sposób, żeby przestali tłumaczyć mi różne rzeczy. Jeśli się uśmiechasz, wiedzą, że nie słuchasz. Mam nadzieję, że wyglądam, jakbym słuchała. Jeśli przekonam ich, że się poprawiłam, wypuszczą mnie. Uznają, że mogę odejść, zanim odkryją, że mój rosnący brzuch to nie tylko efekt tutejszej diety węglowodanowej. Świat Zewnętrzny mnie przeraża, ale muszę tam zamieszkać.

Tak więc robię, co Melanie mi każe, i codziennie wychodzę na ulice. Wlokę się na nabrzeże, gdzie rozkoszuję się szumem fal, pokrzykiwaniem mew, patrzę na śmieci i porzucone rożki z lodów.

Gdyby tylko nie ten lęk, który muszę pokonać, żeby to zrobić! W Plas Golau codziennie słuchaliśmy opowieści o kolejnych rzeziach wśród Martwych: o nożach, broni, ołowiu w wodzie, ciężarówkach wjeżdżających w tłumy, kobietach sprzedawanych do burdeli, lśniących, srebrzystych wieżach Mammona zrównanych z ziemią. Takich historii się nie zapomina, zwłaszcza jeśli wysłuchiwało się ich dzień w dzień przez niemal dwadzieścia lat.

Melanie głównie siedzi w miękkim fotelu, robi notatki i pyta:

– Jak się wtedy poczułaś?

Mówię, że byłam *smutna, samotna, wyobcowana, przestraszona, zła, rozżalona*; od czasu do czasu dorzucę też *pełną nadziei*, żeby dodać jej otuchy, a ona kiwa głową i spisuje kolejną notatkę. Kiedy zauważyli, że wymiotuję, sprawiała wrażenie zadowolonej. Nazwała to „symptodem niepokoju emocjonalnego”. Mówiła, że to podobno normalne, gdy ludzie doświadczają potężnych, negatywnych emocji.

– To stało się dziś rano, jak nie mogłam zdecydować się, co wypić: kawę czy herbatę – powiedziałam. – I później, kiedy czytałam gazetę. Artykuł o tym, jak szkoli się małpy, żeby opiekowały się niewidomymi.

– Cóż, może porozmawiamy o tym przy innej okazji – odparła i znowu coś zapisała.

Zauważyłam, że nie potrzeba wiele, by odwrócić uwagę ludzi. Kiedy już coś założą, większość rzeczy, które widzą i słyszą, zdaje się to potwierdzać. Nie należy tylko wskazywać czegoś oczywistego, choć w większości przypadków nawet to niewiele zmienia. Nie przeszkadza mi, że Melanie myśli, że wymiotuję, bo nie mogę znieść widoku kilku martwych ciał. Bywam naiwna, maluszk, ale nie jestem taka głupia, by nie wiedzieć, że twoje istnienie skomplikuje sprawę. Lepiej, żeby Melanie myślała, że pomogła mi uporać się z nerwicą, wywołując u mnie wymioty.

– Porozmawiajmy o twojej rodzinie – mówi. – Co czujesz, gdy o nich myślisz? O twoim bracie i siostrze. Tęsknisz za nimi?

– Ja... – Jak wytłumaczyć to komuś, kto tego nie przeżył? –  
Nieszczęśliwie.

Znowu robi notatkę.

– Nie, posłuchaj – dodaję. – Nie byliśmy... no wiesz, taką prawdziwą rodziną, tak jak ty to rozumiesz. Wszyscy tworzyliśmy rodzinę, niezależnie od tego, czy łączyły nas więzy krwi, czy nie. Byliśmy...

Szukam właściwych słów. Wiem, że czeka, aż powiem „sektą”, ale niech mnie szlag, jeśli to zrobię. Nienawidzę tego bardziej niż czegokolwiek w swoim nowym życiu. Tego, że nasze słownictwo tak bardzo różniło się od tego, którym posługują się oni; że muszę szukać ich słów, zamiast używać tych, którymi operowałam przez całe życie. Nikt tego nie docenia. Zakładają, że skoro mówiliśmy po angielsku, problem polega na tym, że mam ograniczony zasób słownictwa. Gdybym pochodziła z Syrii, zatrudniliby tłumacza. A kto będzie tłumaczył dla mnie? Wszyscy nie żyją albo zniknęli. Równie dobrze mogłabym mówić językiem Majów.

– Myślę, że można by to nazwać komuną. Tak, komuna to dobre słowo – powtarzam po raz kolejny. – Bo wszyscy wychowywaliśmy się razem, a dorośli opiekowali się nami na zmianę.

Chlewik. Tak nazywaliśmy pomieszczenie, w którym uczyliśmy się, podczas gdy dorośli pracowali na polu. Unikam tego słowa przy Melanie.

– Coś jak kibuc? – dopytuje.

– Skoro tak mówisz. Poza tym Eden ma tylko piętnaście, a Ilo trzynaście lat. Kiedy oni byli dziećmi, ja większość czasu spędzałam na dworze, trenując.

– Trenując?

– *Każdy pełni jakąś funkcję* – recytuję. – *Wszyscy są nikim, a każdy jest kimś.*

Patrzy na mnie z podziwem.

– Sama to wymyśliłaś?

Posyłam jej spojrzenie, które mówi „Żartujesz?”. Jestem z nie-



go zadowolona. Nauczyłam się go na terapii grupowej. Chwilę później znowu robi mi się niedobrze, przepraszam więc i biegnę do toalety. Kiedy wracam kilka minut później, Melanie raczy mnie swoim własnym markowym spojrzeniem w stylu „A nie mówiłam?”.

– I jak tam lęk? – pyta znacząco.

Wyciągam swój notatnik i odczytuję pracę domową. W ciągu ostatnich siedmiu dni moje stany lękowe wahały się. W skali od jednego do dziesięciu zaliczyłam dwie ósemki, szóstkę, dziesiątkę, dziewiątkę, znowu dziewiątkę i kolejną ósemkę. Pierwsza dziewiątka była w dniu, kiedy omal nie przejechał mnie autobus. Są umiejętności, nad którymi muszę jeszcze popracować, i wygląda na to, że przechodzenie przez ulicę jest jedną z nich. Nawet teraz rzadko schodzę poniżej ósemki, mimo ćwiczeń oddechowych i rozwagi. Za to uwielbiam beta-blokery. Cudownie powolne, wręcz leniwe bicie serca po tym, jak wezmę tabletkę.

Widzę po twarzy Melanie, że nie jest zachwycona. Nagle się rozpromienia, bo optymizm to jej specjalność, tak jak moją specjalnością jest wieczne wypatrywanie bomb, które lada chwila zaczną spadać nam na głowy.

– Cóż! – szczebiocze. – Wygląda na to, że w piątek nastąpiła poprawa! Co robiłaś w piątek?

Zaglądam do dziennika.

– Zostałam w domu i sprzątałam pokój. Myślę, że ocena byłaby jeszcze lepsza, ale zaczęłam się zastanawiać nad całą tą chemią w środkach czyszczących. Nie zaszkodzą mi, prawda?

Następny dzień oceniłam na „dziesięć”, bo wydawało mi się, że zobaczyłam na nabrzeżu Uriego, jak kupował lody z vana oklejonego kartonami, na których ktoś namalował tańczące ciastka. Serce waliło mi jak szalone, aż w końcu odwrócił się w moją stronę i zobaczyłam, że to zupełnie obcy człowiek z ogoloną głową i grubą szyją.

– Och – rzuca Melanie.

Chyba jestem frustrującą pacjentką. Muszę zacząć kłamać w

dzienniku albo nigdy stąd nie wyjdę. A muszę wyjść już niedługo. Jeśli odnotuję kilka „trójek” i „piątek”, będzie szczęśliwa. W ubiegłym tygodniu miałam atak paniki. Przeraziłam się, że chemikalia z proszku do prania wnikną mi w skórę i na koniec wypłukałam wszystko, co mam, w wannie. To wstyd, że nadal zdumiewa mnie to, jak łatwe jest sprzątanie, kiedy ma się te wszystkie środki. I jak dobrze smakuje jedzenie. Ale ostrożności nigdy za wiele.

Ojciec powtarzał, że chemikalia to jedna z rzeczy, które wykończą ludzkość. Chemikalia, zaraza, wojna, głód, zima nuklearna, niekończące się lato, krach gospodarczy, degeneracja. „Żyjemy w zgodzie z naturą – grzmiał ze swojego podium na schodach Wielkiego Domu, podczas gdy Praczkі szorowały i wyżywały nasze ubrania w miedzianych baliach z wodą i mydlnicą lekarską. – Natura to nasza przyszłość. To samo życie”. Nasze ubrania były szare, ponieważ wybielacze to chemia, ale nie przeszkadzało nam to, bo mydlnica, podobnie jak złocień maruna, wcale nie jest skuteczna i jasne stroje trudno by było doprać.

– Prawda? – powtarzam.

– Nie sądzę – odpowiada Melanie. – Jest wiele przepisów dotyczących środków chemicznych. Muszą poddać je licznym testom, zanim zaczną je sprzedawać.

Tak ci się tylko wydaje, myślę.

Naprawdę chodzi mi o to, czy nie zrobisz krzywdy tobie, ale nie mogę jej tego powiedzieć, bo przecież nie wie o twoim istnieniu. Nie mogę zabić swojego dziecka. Nie teraz. Jesteś przyszłością.

Nie wiem, czemu tak bardzo przejmuję się środkami chemicznymi. W końcu wszyscy w Plas Golau umarli śmiercią naturalną.

## 2 | Sarah

Najbliższa rodzina.

Sarah Byrne po raz ostatni widziała siostrę dwadzieścia jeden lat temu. Odeszła, gdy Sarah miała dziesięć lat, i rodzice nigdy więcej o niej nie mówili. A ponieważ Sarah nie przepadała za Alison, żyła tak, jak gdyby nic się nie stało. Pamięta ją bardziej jako niewyraźną postać, utkaną z gniewu trąbę powietrzną gotową w każdej chwili zniszczyć świat, niż własną siostrę. Siedem lat to duża różnica, kiedy jest się dziećmi, i zanim Sarah dorosła na tyle, by stworzyć trwałe wspomnienia, burza hormonów pochłonęła Alison na dobre. Na swój sposób jej odejście było błogosławieństwem. Sarah wymazała ją ze swych wspomnień, tak jak rodzice wymazali ją ze swojego życia. Bardziej przeżyła dwa lata później śmierć dwukolorowej kotki, Mimi, niż utratę siostry. Minęło dwadzieścia jeden lat i nie pamięta, żeby w ciągu ostatniej dekady choć raz pomyślała o Alison. A teraz...

. . .

Helen patrzy na rozkładówkę „Mail on Sunday”, gdzie Sarah pierwszy raz zobaczyła siostrę. To jeden z wielostronicowych dodatków, którymi gazety w sezonie ogórkowym zapełniają luki między reklamami, chcąc pokazać, że im zależy. W tym roku były już

takie trzy. W noworocznym wydaniu zamieścili historie kobiet zamordowanych przez swoich partnerów w Wielkiej Brytanii w 2015 roku. W numerze wielkanocnym pisali o londyńskich nożownikach. A teraz, na początku wakacji, piszą o wszystkich ciałach, które udało się zidentyfikować po tym, co wydarzyło się w Plas Golau.

IMIENNI BEZIMIENNI, głosi nagłówek. Dalej na szesnastu stronach przypominających szkolną księgę pamiątkową widnieją fotografie zmarłych i artykuł wstępny o tym, jak zapominamy, że za nagłówkami i liczbami ofiar śmiertelnych kryją się prawdziwi ludzie. Ludzie, których życia pasowały do zdjęć policyjnych zamieszczonych po osiem na stronach brukowca. Wśród nich była Alison. Wówczas świat Sarah implodował.

Helen podnosi wzrok. Siedzi na kanapie z wysokim oparciem, należącej niegdyś do jej pradiadka, i udaje, że jest jej wygodnie. Prawda jest taka, że w domu nie ma wygodnego miejsca do siedzenia. Są tylko eleganckie meble dla ludzi, którzy szcycą się niewygoda. Odkąd przeprowadziła się tu z powrotem, Sarah była zbyt smutna i zbyt zniechęcona życiem, żeby cokolwiek z tym zrobić.

– Co teraz czujesz? – pyta Helen. Jest psychologiem w szkole, w której Sarah jest administratorką, i rozmowy z nią często prowadzają się do takich właśnie pytań. To zboczenie zawodowe, takie jak to, że zawsze ma przy sobie paczkę chusteczek.

– Czuję się... strasznie. Mam poczucie winy.

– Poczucie winy? Dlaczego? Mówiłaś, że kiedy odeszła, miałaś zaledwie dziesięć lat.

– Tak, ale teraz nie mam już dziesięciu lat. Tylko trzydzieści jeden. Od ponad dziesięciu lat jestem dorosła.

– No i?

Sarah macha wściekle rękami.

– Powinnaś była... Mogłam coś zrobić. Mogłam spróbować ją odnaleźć.

– Poważnie? – Helen sięga po kieliszek wina i upija łyk.

Jest taka miła. Zamiast siedzieć w domu z dwójką dzieci i ci-

chym mężem, przysłała zaopiekować się Sarah. Pewnie sądziła, że będą zrozpaczona, myśli Sarah. No bo kto by nie był, gdyby dowiedział się, że jego siostra nie żyje? Mimo to Sarah jest wdzięczna. Przez ostatnie trzy lata po rozwodzie czuła się bardzo samotna, a przez ostatnie dwa pałętała się po domu, z którego jej nieżyjący już rodzice uczynili coś w rodzaju muzeum. Miło jest wiedzieć, że ma choć jedną przyjaciółkę, która jest w stanie rzucić wszystko, żeby ją pocieszyć.

– Mówiłaś, że nie wiesz, gdzie jest – odzywa się Helen. – To bardziej jej wina niż twoja. Zważywszy na to, że zawsze mogła się z kimś skontaktować, możesz śmiało założyć, że Alison nie chciała być odnaleziona.

Sarah czuje, że zaraz się rozplacze. Nie wie dlaczego. Nie chodzi o to, że tęskniła za siostrą, kiedy Alison żyła. Sięga po „Mail” i przebiega wzrokiem jej żalną biografiją.

Alison wygląda dokładnie tak, jak ją zapamiętała. Zdjęcie zrobiono w szkole; ma na sobie rozpinany granatowy sweter – część szkolnego mundurka. Miała wtedy czternaście, piętnaście lat i naturalne jasne włosy. Odkąd zdała do szóstej klasy, obcinała je do ramion kuchennymi nożyczkami mamy i farbowała na wszystkie kolory tęczy. Wściekłym wzrokiem wpatruje się w obiektyw, jakby chciała wysadzić w powietrze cały świat.

Sarah odstawia kieliszek. Znowu robi się jej niedobrze, choć czytała artykuł już tyle razy, że powinna się na niego uodpornić. Patrzy na pozostałe twarze na stronie. Młode, pociągłe, smutne twarze, które posłusznie uśmiechają się do obiektywu – fotografie sprzed dziesiątków lat, podarowane przez porzucone dawno rodziny. Nadal nie wie, skąd ci z gazety wytrzasnęli to zdjęcie. Na pewno nie kontaktowali się ze szkołą; gdyby tak było, to ona odebrałaby telefon. Pewnie dostali je od którejś z przyjaciółek jej siostry.

Znowu czyta, chociaż zna na pamięć każde słowo.

*Alison Maxwell, lat 38. Urodzona w Finbrough, w Berks, człon-*

*kini Kościoła ewangelickiego w Finbrough. W rodzinnym miasteczku miała reputację „niepokornej”; w wieku 17 lat zaszła w ciążę i opuściła dom. Ostatni raz widziano ją w Finbrough zimą 1995 roku. Wiosną i wczesnym latem 1996 roku kilkakrotnie widziano ją z dzieckiem, jak pracowała na straganach podczas festiwalu muzycznego. Później zapadła się pod ziemię. Miała jeszcze dwoje dzieci, które urodziła w latach 2001 i 2003 we wspólnocie. „Była śliczna – wspomina dawna koleżanka ze szkoły. – Buntowała się, ale w jej sytuacji każdy by się buntował: dusiła się tam. Nie mogę uwierzyć w to, co ją spotkało. Ale rozumiem, że łatwo omamić samotną dziewczynę z dzieckiem, która szuka czegoś lepszego”. Wspólnota w Finbrough została rozwiązana jakiś czas temu i nie ma jak skontaktować się z rodziną Alison Maxwell.*

Sarah wzdycha. Upija łyk i odstawia kieliszek. To tyle, jeśli chodzi o to, jak bardzo dziennikarze starają się dotrzeć do prawdy. Choć szczerze mówiąc, mieli wystarczająco dużo łatwych tropów, żeby nie musieć marnować czasu na kluczenie w ślepych zaułkach.

– I co myślisz? – pyta Helen. – O dzieciach?

– Nie wiem – odpowiada Sarah. – Naprawdę nie wiem. Opieka społeczna suszy mi głowę, żebym je wzięła, ale ja nie mam pojęcia o wychowywaniu dzieci.

Helen parska.

– Masz z nimi do czynienia dosłownie każdego dnia.

– Tak, ale... głównie upominam je, żeby nie biegały po korytarzach. To nie... to dzieci innych ludzi. Nie moje.

Helen marszczy nos.

– Nikt nie wie nic o dzieciach, dopóki nie ma własnych. A kiedy ostatnio sprawdzałam, globalna populacja wciąż rosła.

Zapada cisza. Sarah wie, że Helen czeka – jak przystało na terapeutkę – aż ona coś powie, ale nie wie, co mogłaby powiedzieć w tej sytuacji. Rozgląda się po ponurym prowincjonalnym domu

pełnym ciemnego drewna i portretów przodków i przysłuchuje się zegarowi szafkowemu, który tyka głośno, szykując się do wybicia godziny. Pamięta wszystkie te noce, kiedy nie mogąc zasnąć, leżała w ciemności, czując wrogość tego zegara, gdy czekał tylko, by odliczyć kolejną godzinę jej życia, w którym nic przecież nie osiągnęła.

Jak mam stworzyć tu szczęśliwy dom dla kolejnego pokolenia? – myśli. W miejscu, które tak bardzo chciałam opuścić, że wyszłam za mąż za pierwszego lepszego faceta? Byłam głupia, że wróciłam tu, gdy po rozwodzie cały świat stanął przede mną otworem. Powinnam była sprzedać dom. Dom, którego nienawidzisz, nadaje się tylko do tego, żeby dostać za niego pieniądze na taki, który pokochasz.

Nienawidzi zwłaszcza zegara. Jego dźwięku, tego przekłętego terkotania – tik-tak, tik-tak. Nienawidzi zegarów wybijających godzinę. Z góry zapowiedziała, że w swoim domu w Reading nie chce żadnych zegarów, i Liam się na to zgodził. Sprawdzali godzinę w komórkach. A teraz w każdą sobotę wieczorem sumiennie nakręca tę przekłętą rzecz, jak przed nią ojciec i dziadek.

– Spotkam się z nimi w sobotę – mówi w końcu. – Tak trzeba. W końcu dopasuję twarze do imion.

– Dobrze – rzuca Helen. – Ale pamiętaj, że to cię do niczego nie zobowiązuje... Jak mają na imię?

– Eden. I Ilo. Piętnaście i trzynaście lat. Jest jeszcze dziewczyna... a właściwie kobieta, bo teraz ma pewnie ze dwadzieścia lat. Romy. To ją znaleźli w szpitalu. Z dorosłych tylko ona ocalała.

– Boże, pamiętam to zdjęcie – mówi Helen. Sarah też je pamięta. Przypięte pasami do noszy chude jak szkielet ciało z maską tlenową na twarzy. I skierowane w jego stronę tysiące obiektów, gdy mijając stopy trupów, niesiono ją do karetki. – Nie miałam pojęcia, że... to ktoś z twojej rodziny...

– Tak. To przez nią Ali wyprowadziła się z domu... To znaczy „wyprowadziła” jest chyba złym słowem, bo w tej kwestii nie miała

wyboru. – W moim głosie słyhać gorycz, myśli. Bo przecież jestem rozgoryczona. Wyrzucili ją, a teraz moja siostra nie żyje, a ja muszę podjąć decyzję i nie wiem...

Na dźwięk zegara wybijającego godzinę wzdryga się odruchowo. Sprzedam to cholerstwo, myśli. Ściągnę tu handlarza starociami i opchnę mu go. A potem sprzedam dom. Nie muszę odkładać wszystkiego na później z powodu ludzi, o których istnieniu jeszcze do wczoraj nie miałam bladego pojęcia.

– Zamierzałam podróżować – odzywa się tęsknie.

– Wiem – odpowiada Helen. – Trochę kiepsko. Ale życie czasem zaskakuje.

– Nie mogę po prostu... sama nie wiem... przelać pieniędzy na jakiś fundusz powierniczy, żeby skorzystali z nich, kiedy będą dorośli? No wiesz... przekazać im połowę pieniędzy, które dostaną za dom? Część, która normalnie należałaby się Ali. Tak byłoby najlepiej.

– Jeśli zdecydujesz się oddać je do domu dziecka...

– Nie mogę tego zrobić, Helen. Zresztą... Chryste, nie mam pojęcia, jak miałabym się nimi zająć. Będą w kiepskim stanie. Na litość boską, widziały, jak umierają wszyscy, których znały... I ta sekta! Moja styczność z sektami ograniczała się do organizowania szkoleń dla nauczycieli.

– Nie będziesz sama – zapewnia ją Helen. – Jeśli pójdą do szkoły, będą miały mnie.

– Ale one... potrzebują kogoś, kto je zna. Kogoś, kto wie, jak je pocieszyć. Spójrz na mnie. Nie one jedne będą w rozsypce. Sama nie mogę się pozbierać.

– Nie powiedziałabym – rzuca Helen. – Nie bardziej niż połowa rodziców, z którymi mam styczność.

– Właśnie że tak! Daj spokój, kto normalny mieszkałby w takim miejscu? Muszę ogarnąć własne życie, zanim zabiorę się za pomaganie innym. A jeśli wszystko spieprzę?

– Przemawia przez ciebie strach – tłumaczy Helen. – To zrozu-



miałe. Nie musisz tego robić, Sarah.

Ale to nie ich wina, myśli Sarah i znowu ogarniają ją wyrzuty sumienia. To sieroty – ofiary burzy wywołanej strasznymi decyzjami innych ludzi.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiazka.pl](http://taniaksiazka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarń i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).